

Rzeczpospolita 25 lutego 2010 r.

## **Chrońmy kobiety przed polityką**

Rafał A. Ziemkiewicz

***Kobiety nie poprawiają polityki. Wręcz przeciwnie: polityka psuje kobiety. Wchodząc w to środowisko, stają się bardziej od mężczyzn brutalne, perfidne i fałszywe – pisze publicysta „Rzeczpospolitej”***

Swego czasu bardzo popularne było w polskich mediach określenie „temat zastępczy”. Szermowano nim głównie w celu zdyskredytowania tradycyjnych pól zainteresowania politycznego katolicyzmu – wzorcowym tematem zastępczym obwoływano aborcję, dopóki zmiana prawa w tej kwestii nie stała się sztandarowym postulatem lewicy.

### **Nic się nie zmienia**

Nic jednak bardziej nie zasługuje na miano tematu zastępczego, niż wymyślony przez grupy feministyczne organizujące tzw. Kongres Kobiet postulat parytetów płciowych na listach wyborczych. Zaproponowana przez te środowiska ustawa nie niesie absolutnie żadnych skutków praktycznych.

Bardzo przekonująco udowodnił to, popierając stosownymi obliczeniami, dr Jarosław Flis – którego wywodu nie mogę w pełni zacytować z braku miejsca – wskazując, w największym skrócie, że nasza ordynacja narzuca gigantyczną nadliczebność kandydatów. W okręgu, gdzie realnie ma szansę na zdobycie jednego – dwóch mandatów, partia wystawić musi listę kilkunastu, niekiedy ponad 20 osób, które z założenia są tylko wyborczą massą tabulettae.

W tej grupie można dowolnie i bezpiecznie dla systemu ustalać sobie dowolne parytety nie tylko dla kobiet, ale też, jak niegdyś w FJN, dla pracowników umysłowych i fizycznych, mieszkańców wsi i miast, a nawet dla łysych i długowłosych – i tak „nie wchodzi”.

O faktycznych szansach wyborczych decyduje umieszczenie przez szefa partii na „mandatowym” miejscu, a niekiedy popularność w regionie – tu autor analizy podawał przykłady, gdy silnie zakorzeniona na Podkarpaciu szefowa lokalnych struktur PO wygrała z przysłanym z Warszawy byłym przewodniczącym „Solidarności”, ale także odwrotnie, przykłady, gdy kobieta spadochroniarz (a takie kandydatki mielibyśmy w wypadku odgórnego realizowania przez partie parytetów) przegrywała ze znanym lokalnym działaczem startującym z niższego miejsca.

„Parytetowe” prawo jest więc z zasady zmianą niczego niezmienną i tym tłumaczyć należy fakt, że temat wyraźnie „szarpnął” w politycznej debacie. Nasza polityka „dzieje się” bowiem głównie w sferze pozorów i symboli, polega na nieustannym międleniu w całodobowym radiowo-telewizyjnym maglu tych samych tez, najlepiej ideologicznych, bo o takich można w nieskończoność.

### **Znaleźć jakiś sposób**

Inicjatywa feministek, nie będąc dla nikogo groźna, zarazem daje politykom możliwość toczenia długich sporów na wysokim poziomie ogólności. A przy tym daje możliwość łatwego stworzenia pozoru, że robi się coś dobrego, no bo „zwiększanie roli kobiet w

polityce” kojarzone jest jako opowiadanie się po stronie kobiet, a przecież ładnie jest być za kobietami, a nie przeciw nim.

Tu właśnie tkwi przyczyna, dla której mimo całej pozorności i nonsensu zaproponowanego prawa warto się do sprawy odnosić. Grupie ideolożek, które stały za Kongresem Kobiet, udało się bowiem w opakowaniu inicjatywy z praktycznego punktu widzenia pozbawionej znaczenia, a przez to łatwej do przeprowadzenia najpierw przez gremium kobiece, do którego zaproszono w większości uwiarygodniające działania „ideologicznych żołnierek” niefeministki (nawiasem mówiąc, modus operandi feministek jest dokładnie taki sam, jaki ongiś stosowali komuniści), a potem przez Sejm wpłynąć bardzo poważnie na debatę publiczną.

Mówiąc prościej – ten projekt nie miał zapewnić kobietom, używając języka działaczek, większej reprezentacji w parlamencie. Miał odegrać rolę pedagogiczną, przeorać debatę publiczną i wprowadzić do niej stereotyp wynikający wprost z feministycznej ideologii.

Oto bowiem właściwie wszyscy uczestnicy debaty publicznej poczuli się w obowiązku podpisać pod stwierdzeniem, że działania na rzecz „zwiększenia udziału kobiet” w polityce są zasadniczo słuszne i godne poparcia. Dotyczy to także tych, którzy rozsądnie zobaczyli w parytecie płciowym nawrót do przywołanej tu wcześniej dbałości o odpowiednią reprezentację wszystkich grup społecznych w Sejmie Peerelu.

Krytykując pomysł sztucznego ułatwiania kobietom zdobycia poselskiego mandatu, czuli się oni z reguły w obowiązku, zwłaszcza po zmarszczeniu brwi przeprowadzającego wywiad dziennikarza, zadeklarować, że jakiś sposób „zwiększenia obecności” kobiet w partiach politycznych i parlamencie trzeba znaleźć, nie przez parytety może, ale przez jakieś inne „aktywizujące” je inicjatywy.

### **Ideologiczne tezy**

Nikt nie zadał prostego, narzucającego się pytania: co właściwie dobrego ma wyniknąć z większej liczby kobiet czynnych w polityce? I dla kogo ma to być dobre – dla samych kobiet czy dla polityki?

Wielkie zwycięstwo feministycznej ideologii polega na tym właśnie, iż milcząco przyjęto jako obowiązujący stereotyp przekonanie, że więcej kobiet w partiach, więcej kobiet w polityce – to dobrze. Tymczasem są to tezy wynikające wyłącznie z ideologii, których nie sposób poprzeć jakimikolwiek dowodami.

Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie – dla konserwatysty kobieta jest po prostu pełnoprawnym obywatelem. Dla wyznawczyń feminizmu zaś – przedstawicielką mniejszości, i to mniejszości uciskanej. „Kobiety są klasą społeczną w rozumieniu marksistowskim” – brzmiało pierwsze zdanie wstępu akademickiego podręcznika feminizmu, który wpadł mi przed laty w ręce podczas stażu w USA.

Z tego jednego zdania płyną oczywiste i łatwe do zaobserwowania konsekwencje – jeśli są klasą, tak jak był nią proletariatus, to mają klasowe interesy. A jeśli wcale takich interesów nie zgłaszają ani nie domagają się ich realizowania, to znaczy, że są nieświadome. Bo, jak wiadomo, rewolucję robią masy, ale masy te trzeba najpierw uświadomić i zorganizować, tak jak „awangarda proletariatus”, czyli kompartia, zorganizowała i poprowadziła ku świetlanej

przyszłości klasę robotniczą. Nie chcę rozpisywać się o oczywistych sprawach, a to, że feminizm jest groteskową recydywą komunizmu, wydaje mi się oczywiste.

Mówienie o „reprezentacji kobiet” w polityce i władzach ma sens wyłącznie wtedy, jeśli przyjmie się określony tą ideologią punkt widzenia. To znaczy jeśli się uzna, że istnieją „klasowe” interesy kobiet jako takich – i że reprezentowanie kobiet w polityce oznacza walkę o te interesy. W istocie więc „reprezentowanie kobiet” polegać ma na realizowaniu postulatów feministycznej ideologii. A każda aktywna politycznie kobieta może być tylko zadeklarowaną lub ukrytą feministką, „pożyteczną idiotką” (termin W.I. Lenina) na ich usługach lub „zdrajczynią” kobiecej sprawy.

Rzeczywistość natomiast jest taka, że kobiety nie są klasą społeczną i nie ma niczego, co by stanowiło „kobiece interesy”. Kobiety mają przeróżne poglądy i aspiracje życiowe. Jedne marzą o karierze publicznej, inne o szczęśliwym domu. Jedne chcą mieć kupę kasy, a inne czwórkę dzieci. Większość nie uważa swego instynktu macierzyńskiego za upośledzenie. Te, które interesują się polityką, bywają socjalistkami, konserwatystkami, liberałkami lub wyznawczyniami Dmowskiego.

### **Co z tego wynika**

Większość się partyjną polityką nie interesuje, moim zdaniem słusznie, bo jest to coś na kształt walk mafii i choć znamy z historii parę wybitnych „mafiozek”, to nikt rozsądny nie uzna, że kiedy więcej kobiet zacznie posługiwać się spluwą i kastetem dla dokonywania wymuszeń, świat stanie się dzięki temu lepszy.

Kobiety w polityce nie mogą więc „więcej zrobić dla kobiet”, tak jak mężczyźni w polityce nie robią tego, co robią „dla mężczyzn”. To pierwsza bzdura. Drugą jest wypchane nam przekonanie, że liczniejsza obecność może zmienić politykę na lepsze. Tym bardziej że, podobnie jak w biznesie, kobiety wchodzące w to środowisko często starają się być bardziej męskie od mężczyzn, bardziej od nich brutalne, perfidne i fałszywe.

Więc to nie kobiety poprawiają politykę, ale przeciwnie – polityka psuje kobiety. Z całym szacunkiem należnym posłance Senyszyn czy posłance Sobeckiej, nie chciałbym, aby przeciętna polska pani zaczęła przypominać którąkolwiek z nich.

Najzabawniejsze zaś w całym tym feministycznym absurdzie jest to, że bez wszystkich wynalazków tej ideologii, w „zacofanej” Polsce pozycja kobiet – mierzona ich ulubionymi wskaźnikami – jest dużo lepsza niż w postępowych krajach unijnych. W polskim parlamencie i tak jest więcej kobiet niż w zachodnich, znacznie więcej Polek prowadzi własne firmy bądź zajmuje wysokie stanowiska menedżerskie i robi kariery naukowe, znacznie mniejsza jest u nas różnica między średnimi zarobkami kobiet i mężczyzn.

Gdyby poważnie traktować ideologię feministyczną, trzeba z tego wysnuć jedyny logicznie możliwy wniosek: że wzór, jak doprowadzić kobiece masy do stanu szczęśliwości, dały nie zachodnie demokracje, ale car, Führer i gensek. Po prostu jak się w narodzie intensywnie eksterminuje mężczyzn, to kobiety ulegają emancypacji siłą rzeczy.

Tylko, powtórzmy retoryczne pytanie – co z tego niby wynika dobrego i dla kogo?